

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.  
 $\frac{1}{2}$  " — 40 "  
 $\frac{1}{4}$  " — 20 "  
 $\frac{1}{8}$  " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## O rozszerzenie frontu.

Kilkakrotnie już poruszaliśmy temat, który dziś stał się niezmiernie aktualny — stopniowego zanikania istotnego demokratyzmu w społeczeństwie polskim, w związku z usilnie propagowanym przez wszystkie niemal odłamy społeczne kultem militarystycznym.

W pierwszym rządzie choroba ta opanowała t. zw. demokrację radykalną, która zatrzymała tytuł, zmieniawszy do gruntu swą treść wewnętrzną. Bardzo charakterystyczną ewolucję tego obozu mogliśmy obserwować u nas w Wilnie, będąc naoczniymi świadkami przeobrażeń, jakim uległa nieliczna, ale zwarta dawniej i posiadająca wyraźne oblicze ideowe grupa demokratów wileńskich. Od „Gazety Wileńskiej” M. Römera, poprzez przedwojenny „Przegląd Wileński” do obecnego „Kurjera Wileńskiego” zaiste jest to droga daleka, którą jednakże demokraci wileńscy przebyli dziwnie gładko i bez większego utrudzenia. Równolegle postępowała w tym samym kierunku dawna postępową demokracją warszawska i lwowska wraz z inteligencją radykalną rozmaitych odcieni, by w rezultacie znaleźć się dziś razem w tej nawpół wojskowej organizacji, która nosi miano Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, pozostającej pod komendą byłego bojowca P. P. S., a dziś pułkownika wojsk Polskich Walerego Sławka.

Zanosilo się na to samo i w ugrupowaniach lewicowych o charakterze klasowym. I „P. P. S.” i „Wyzwolenie” i „Stronnictwo Chłopskie” do niedawna wykazywały również skłonności wybitnie oportunistyczne, ulegając ogólnej psychozie nacjonalistyczno-militarystycznej. Liczny udział w szeregach tych stronnictw jednostek, związanych swą przeszłością lub nawet współczesną działalnością z rozmaitymi organizacjami wojskowymi, nadawał lewicy polskiej charakter jakiegoś jakobińskiego faszystwu. Stanowi-

sko „Wyzwolenia” w sprawie osadnictwa wojskowego na naszych ziemiach świadczyło wymownie o reakcyjnych prądach, nurtujących w jego łonie. Udział socjalistów w rządzie koalicyjnym, w którym pierwsze skrzypce grał Stanisław Grabski, dużo dawał do myślenia o czystości programowej formalnych wyznawców zasad II Międzynarodówki. Popieranie mniej lub więcej wyraźne wszelkich poczynań rządu w kierunku unifikacyjno-centralistycznym, niechętna postawa względem zagadnień autonomicznych, traktowanie lekceważące, a nieraz wprost wrogie mniejszości narodowych — stale cechowały politykę lewicy polskiej.

Wobec tych tendencji nic dziwnego, że przewrót majowy narazie zjednoczył całą lewicę bez różnicy dokoła osoby marszałka Piłsudskiego. Trwała ta idylla jednakże nie długo. Zawód, jaki spotkał żywioły radykalne, spodziewające się po przewrocie ujęcia rządów w swe ręce, ochłodził prędko pierwotny zapal znacznej części zwolenników metod faszystowskich. Rozpoczęły się tarcia i nieporozumienia. Po wyborach do obecnego Sejmu nastąpiło gruntowne oczyszczenie atmosfery. Ze stronnictw ludowych usunęły się jednostki o zabarwieniu militarystycznym, tkwiące tam, zdaje się, dlatego jedynie, że nie mogły sobie znaleźć miejsca gdzieindziej, przechodząc gromadnie do rządowego Bloku Bezpartyjnego. Wreszcie ostatnio nastąpił rozłam w P. P. S. również na gruncie stosunku do programu sanacyjnego. Zdecydowani militaryści utworzyli odrębną organizację, ściśle zespoloną z Blokiem, zyskując ironiczną nazwę B. B. S. Rezultatem tych wszystkich przemian i przesunięć jest konsolidacja obozu lewicowego, zajęcie przez niego stanowiska ostrej opozycji względem rządu i wywołane tem naprężenie sytuacji parlamentarnej, które może z łatwością doprowadzić do głębszego przesilenia wewnętrznego.

Po raz pierwszy w życiu politycznym wskrze-

szej Polski lewica demonstracyjnie i radykalnie się odseparowała od żywiołów, które ją dotąd sprowadzały z właściwej drogi obrony zasad demokratyzmu i parlamentaryzmu na manowce niestosownych dla niej eksperymentów jakobińsko-faszystowskich. Ustało wreszcie wielkie bałamuctwo, które od szeregu lat ciążyło nad życiem politycznym polskim, nadając mu wygląd karykaturalny w oczach opinii europejskiej, nie pojmującej takiego pomieszania pierwiastków i oglądającej się napróżno za reprezentacją w Polsce niesfałszowanego demokratyzmu. Nie mogły trafić do przekonania Europejczyka, przyzwyczajonego operować kategoriami ogólnoludzkimi ani polski katolicyzm, przesiąknięty duchem nacjonalizmu, ani polski demokratyzm o tendencjach militarystycznych.

Z tego też względu obecna konsolidacja lewicy polskiej zasługuje na o wiele większą uwagę, niż wszystkie dotychczasowe próby wytworzenia przez nią wspólnego frontu. Przedtem nigdy nie było wiadomem dokąd ją popchną ukryte siły, działające wśród niej i cieszące się wielkim wpływem. Dziś lewica odzyskała swą zupełną samodzielność. Musi rachować jedynie na własne siły, opierać się wyłącznie na zorganizowanych przez siebie masach. W tem tkwi jej moc moralna, jednocześnie jednak i słabość fizyczna. Mając przeciwko sobie prawicę społeczną (mimo chwilowego sojuszu taktycznego), wysoce agresywny obóz sanacyjny i nieprzejednaną skrajną lewicę komunistyczną socjaliści i ludowcy polscy, będący obecnie jedynymi obrońcami i reprezentantami zasad demokratycznych, znajdują się w położeniu niezmiernie ciężkiem i nie wiele mają szans na zwycięstwo w rozpoczętej walce z byłymi swymi sojusznikami, zorganizowanymi dziś w odrębny związek, mający swe specjalne cele i interesy.

Siły lewicy polskiej mogłyby się znakomicie wzmocnić przez rozciągnięcie zawartego przez nie niedawno porozumienia również na te mniejszości narodowe, które pod względem społecznym są do niej zbliżone i w ustroju szczerze demokratycznym upatrują gwarancję swego swobodnego rozwoju kulturalnego i politycznego. Nie wiemy, czy byłyby czynione w tym kierunku jakieś usiłowania i na jakiej podstawie taka wielka koalicja lewicowa mogłaby powstać. Logika jednakże wskazuje, że skoro walka ma się toczyć w imię hasła demokratycznych, to nie może ona i nie powinna nosić charakteru wyłączności narodowej. Prawdziwy demokratyzm nie może być połowicznym i nie może mieć na względzie jedynie ludności polskiej. Gdyby tak było, należałoby z góry przewidywać porażkę lewicy, bo brakowałoby jej przede wszystkim tej mocy wewnętrznej, jaką daje każda wielka idea, o ile jest wyznawana w całej swej rozciągłości, bez oportunistów i kompromisów.

Otrząśnięcie się lewicy polskiej ze szkodliwych dla jej organizmu naleciałości, pozwala przypuszczać,

że byłaby ona zdolną do takiego kroku, do wydobycia z lamusa i rozwinięcia starego, okrytego chwałą sztandaru z napisem „za naszą i waszą wolność”, gdyby potrafiła znaleźć wspólny język z mniejszościami narodowymi. Niestety, w ciągu ostatnich kilku lat tyle się nagromadziło wzajemnej niechęci, uprzedzeń i uraz, że przełamać ten mur nie będzie łatwo. Z jednej strony będzie zawsze działało nabyte przyzwyczajenie do ekskuzywizmu narodowego, z drugiej strony usprawiedliwiona dotychczasowymi doświadczeniami nieufność będzie również stała na przeszkodzie wszelkiemu zbliżeniu.

Bez zjednoczenia jednakże sił opozycyjnych niema co marzyć o triumfie zasad demokratycznych w życiu wewnątrzno-państwowem Polski.

## Tabula rasa.

Nasza teza, której tak często bronimy, mianowicie, że język a narodowość nie pokrywają się wzajemnie znalazła niespodziewane poparcie ze strony dr. A. Krysińskiego, który w ostatnim zeszycie „Spraw Narodowościowych” obszernie się zastanawia nad kwestją liczebności i rozmieszczenia Białorusinów w państwie polskiem.

Analizując cyfry ostatniego spisu ludności z r. 1921 dr. Krysiński polemizuje z p. Leonem Wasilewskim, który skorygował je dość znacznie, podwyższając liczbę Białorusinów — katolików z 70.000 na 450.000. Autor przyznaje zresztą, że taką zapewne cyfrę otrzymalibyśmy w zestawieniach spisu 1921 r., gdyby spis ten zajmował się określeniem *językowej*, a nie *narodowej* przynależności ludności. Ponieważ jednak spis zapytywał o narodowość, a nie o język, zdaniem dr. Krysińskiego, niema w tem nic dziwnego, że cyfra uzyskana w wyniku spisu ludności jest o wiele niższą, aniżeli w obliczeniach p. Wasilewskiego.

„Czyż bowiem każdego katolika, posługującego się w życiu domowem przeważnie białoruszczyzną, musimy koniecznie uważać za Białorusina? — zapytuje dr. Krysiński. „Czyż wogóle przynależność językowa zawsze decydować może o narodowości?”

„Liczne analogie ze stosunków narodowościowych na zachodzie Europy pozwalają nam zaprzeczyć temu jaknajbardziej stanowczo. Wszak powszechnie używanie języka niemieckiego w Alzacji lub włoskiego na Korsyce zupełnie nie przeszkadza tamtejszej ludności uważać się za dobrych Francuzów\*), jak nie przeszkadza Irlandczykom pozostawać odrębnym narodem język angielski, narzucony im w ciągu wieki trwającej niewoli. Czyż wreszcie i na ziemiach językowo polskich, jak Mazury, a nawet Śląsk Opolski nie spotykamy się z zjawiskiem tej samej kategorii, t. zn. z wytwarzaniem się, niestety, poczucia narodowego (choć może tylko czasowego) wśród pokaźnych liczebnie odłamów ludu, którego mowa jest jeszcze polską?”

„Jeżeli zatem większa część, mówiących do dziś po białorusku katolików posiada już wyrobione

\*) Przykład Alzacji został wybrany niefortunnie, gdyż ruch separatystyczny, którego dowodem jest niedawny proces autonomistów nie da się w żaden sposób pogodzić z pojęciem „dobrego Francuza”.  
(L. A.)

lub będące w stadium kształtowania się poczucie narodowe polskie, to ten fakt braku korelacji pomiędzy językiem i narodowością nie jest bynajmniej zjawiskiem odosobnionem ani w Europie, ani nawet na ziemiach polskich, gdzie polskość od wieków wypieraną jest z serc licznych Ślązaków i Mazurów, aby wzamian zdobyć lud kaszubski szczerp pierwotnie językowo połabski, nie zaś polski.

„Że narodowość polska na kresach obejmuje nietylko ludność językowo polską, lecz również i znaczne odłamy spośród grupy językowej białoruskiej, niech dowodem tego będzie nie mogąca chyba być posadzona o życzliwość dla Polaków statystyka sowiecka 1926 r. Według bowiem tej statystyki spośród 97.498 Polaków, zamieszkałych na Białorusi Sowieckiej, tylko 36.046 osób posługiwało się językiem polskim, podczas gdy białoruskiego języka używało 42.751 osób, czyli że ilość Polaków, zaliczających się do grupy językowej białoruskiej, oczywiście katolików, była tam większa niż Polaków również i z języka.

„Podobne stosunki spostrzegamy również i na Łotwie. Oto łotewski spis ludności, przeprowadzony w roku 1920 wykazał w całym państwie 52.244 Polaków, gdy Białorusinów miało być 57.474, w tej liczbie przeszło 43.000 katolików. Tymczasem pomimo rzekomej przewagi liczebnej Białorusinów nad Polakami, wybory do Sejmu łotewskiego przyniosły Polakom 2 mandaty, gdy Białorusini nie uzyskali ani jednego... Stało się to oczywiście dlatego, iż, jak dowodzi p. W. Studnicki,  $\frac{9}{10}$  Białorusinów katolików na Łotwie uważa się właściwie (?) za Polaków.

„Te dowody w zupełności wystarczają aby stwierdzić, iż fakt poczuwania się do polskośći szerokich mas katolików Białorusinów jest zjawiskiem powszechnem nawet poza granicami Polski, nawet na Białorusi Sowieckiej, gdzie Białorusini są narodem panującym i uprzywilejowanym. Dlaczegoż inaczej miałyby być w Polsce, gdzie przyciągający wpływ kultury polskiej jest oczywiście znacznie silniejszy?”

Nie mam zamiaru polemizować ze wszystkimi wywodami dr. Krysińskiego, zawartymi w jego pracy. Wymagałoby to napisania równie obszernej rozprawy. Chcę się tylko zatrzymać na przytoczonym wyżej ustępie, który zawiera obok słusznych uwag sporo twierdzeń błędnych. Do tych zaś zaliczyć muszę w pierwszym rzędzie dopatrywanie się poczucia narodowego polskiego w masach białoruskich na tej podstawie, że liczne rzesze Białorusinów katolików podają się nieraz za Polaków, głosują na kandydatów polskich do Sejmu i t. p. Nie utrzymuję bynajmniej, że niema wcale u nas mówiących po białorusku, a mimo to uważających się za Polaków z całym przekonaniem i świadomością. Owszem ta kategoria ludności jest dość liczna, zwłaszcza w okolicach Wilna, Nie można jednak z tego wyciągać wniosku, że cała niemal ludność katolicka na obszarze językowym białoruskim należy do narodowości polskiej, jak się wydaje dr. Krysińskiemu. W ogromnej większości firma polska, którą tak chętnie się posługuje katolicki lud białoruski nie jest oznaką poczucia narodowego polskiego, lecz wyłącznie *braku* wszelkiego uświadomienia narodowego. Polak i katolik są dotąd synonimami w pojęciu ciemnych mas tutejszych i tem się tłumaczy zapewne głosowanie Białorusinów łotewskich na kandydatów polskich oraz przyznawanie się do polskośći Białorusinów w Mińszczyźnie. Czy jednak na tak kruchej podstawie mo-

żna opierać jakiegokolwiek obliczenia narodowościowe? Jeżeli p. Krysiński ma nadzieję, że poczucie narodowe niemieckie Mazurów pruskich jest zjawiskiem czasowym, to skądże czerpie pewność, że polskość zewnętrzna Białorusinów katolików również nie jest objawem przejściowym?

Jest rzeczą niewątpliwą, że w naszych stosunkach nie sposób określić narodowości danego osobnika lub nawet całego środowiska na podstawie używanego przez nich języka. Są Polacy, mówiący po białorusku, są Litwini, posługujący się mową polską, są wreszcie „tutejsi”, których ani języka, ani narodowości ustalić nikt nie jest w stanie. Często komplikacje te są wynikiem braku uświadomienia wśród ludności, ale niejednokrotnie są one świadomym wyrazem przeciwieństw, zachodzących pomiędzy wewnętrzną psychiką i pochodzeniem, a zewnętrznymi wpływami kulturalnymi. W tych wypadkach można polegać na subiektywnym kryterjum, przeważnie jednak ani język, jak to również stwierdza dr. Krysiński, ani formalna etykieta, jak tego uczy nas codzienne doświadczenie, ani pochodzenie nie dają dostatecznych podstaw do wydania sądu o przynależności narodowej mieszkańca naszego kraju.

Innymi słowy wszelka statystyka narodowościowa na naszym terenie jest mocno zawodna i problematyczna. Spisy mogą wykazywać ogromne różnice w zależności od tego, kto i w jakich okolicznościach je sporządza. A dociekania gabinetowe i teoretyczne analizy dają szerokie pole fantazji. To też znacznie bliższy prawdy będzie ten, kto powie otwarcie, że ludność na pograniczu zwartych obszarów etnicznych litewskiego i białoruskiego stanowi *tabulam rasam*, na której przyszłość dopiero wypisze niezatartymi głoskami jej prawdziwe miano.

L. A.

## Słowa prawdy.

W powodzi banalnych i szablonowych artykułów, przemówień, enuncjacji urzędowych i półurzędowych z okazji dziesięciolecia niepodległości Polski, wyróżnia się głębokim ujęciem rzeczy, szczerością i niepowściągniętą odwagą cywilną list pasterski J. E. ks. Łozińskiego, biskupa pińskiego.

Zaznaczywszy na wstępie, że właściwa rocznica prawnego wskrzeszenia państwa polskiego wypadła o miesiąc wcześniej i że dzień 11 listopada przeznaczony jest przez sfery, kierujące życiem państwowym na powszechny uroczysty obchód ubiegłego dziesięciolecia J. E. ks. biskup napomina, aby radość z tego powodu była w odpowiedni sposób wyrażana.

„Uroczystość dzisiejszą — czytamy dalej — powinniśmy mianowicie obchodzić poważnie, t. j. nie zadawałać się śpiewem, krzykiem, skakaniem, jak to robią małe dzieci. Ceremonje zewnętrzne nie są złe, ale przecie wystarczyć nie mogą. Powaga przedmiotu naszej radości niech nas pobudza do poważnego zastanowienia się nad nim i nad sobą samymi, do wzniesienia myśli ku Bogu, do rachunku sumienia. Radość nasza będzie poważna, jeśli w duszy naszej obudzi uczucia wyższe, szlachetniejsze, udoskonalające. Przedewszystkiem unikajmy tego, co niestety dość jest pośród nas rozpowszechnionem: błagi i zarozumiałego wynoszenia siebie sa-

mych, swych zdolności, zasług, zdobyczy i t. d. Jeślibyśmy byli tacy wielcy i mocni, to przecie nie pozostawalibyśmy w ciągu 150 lat w hańbiącej niewoli, nasze wojska i ludność cywilna nie uciekałyby w takim popłochu przed zgrają bolszewików w roku 1920, nie pozostałyby do dzisiaj w rękach wrogów naszych jedna trzecia część przedrobiorowych ziem naszych, nie uważanoby nas, jak dzisiaj uważani jesteśmy, za państwo nie dorosłe nietylko siłą i obszarem, lecz ani też powagą i prawami do poziomu wielkich mocarstw światowych, do których zaliczają się „zwyciężone” rzekomo przez nas Niemcy i t. d. — Ach, i t. d., bo w bardzo wielu rzeczach objawia się codzień nasza bezsilność, ku ucieście naszych jawnych i ukrytych nieprzyjaciół.

„Błaga jest zawsze jedną z oznak słabości, boć przecie występuje jedynie jako nędzna przykrywka jakiejś wady lub jakiegoś braku. Błaguje nieumiejący, starający się ukryć swą nieumiejętność, błaguje opieszali i leniwi, aby ludziom wmówić, że jest pracowity i energiczny, błaguje tchórz, aby myślano, że jest odważny. Kto ma prawdziwie jakąś zaletę czy zasługę, ten nie ma potrzeby błagować, bo prawda oddaje mu sprawiedliwość; a jeśli skromnie unika samochwalstwa lub rozgłosu, to właśnie mnoży swe zasługi i wzrasta duchowo.

„Są ludzie, myślący, że wielki patriotyzm okazują, mówiąc ciągle, że Polska jest wielka i niezwykła, że imię narodu polskiego jest nieskalane, że powinniśmy wierzyć w swe siły i polegać na nich, bo w nich tylko jest zadatek naszego trwałego szczęścia i chwały.

„Moje Dzieci Najdroższe, Rodacy moi Ukochani, czyż na takie puste gadanie odważy się człowiek prawdziwie poważny, człowiek rozumny? Nie, takie gadanie jest tylko puste — więc głupie, ale nadto kłamliwe — więc bałamutne i nic wspólnego z patriotyzmem nie mające.

„Patriotą jest ten, kto swą ojczyznę miłuje, kto miłuje swój naród i pragnie dlań dobra. *Miłuje i pragnie*, — nietylko mówi o tem; szuka, gdzie to dobro jest, wskazuje je rodakom, pobudza ich, aby je zdobywali, i sam nad niem pracuje.

„Patriotyzm, po chrześcijańsku pojęty, jest cnotą i obowiązkiem.

„Kto więc z Was chce zasługiwać na miano patrioty, ten niech ma serce prawdziwie Ojczyznę kochające, niech ma oczy, wypatrujące, gdzie jest jej szczęście, niech ma wolę, któraby go do rzetelnej pracy dla dobra ogólnego pobudzało nieustannie.

„Gdzież jest źródło tego dobra t. j. życia, zdrowia i trwałego szczęścia naszego kraju i narodu? Nie gdzie indziej, jak u Boga, Dawcy wszelkiego dobra, bez Którego nic się nie dzieje, w Którego rękę spoczywają losy ludzi, narodów i państw, Który w każdej chwili może nam ją odjąć, Który wszystko widzi, sądzi żywych i umarłych i każdemu wypłaca według uczynków jego.

„ON, nie kto inny, wrócił nam niepodległość ON, nie kto inny utrzymał ją w ciągu 10 lat, ON, nie kto inny mocen ją utwalił jeszcze na 10 lat, a może na 100 lub 1000, albo też oddać nas za tydzień na pastwę nieprzyjaciela lub śmierci”...

W dalszym ciągu dostojny autor zastanawia się nad pytaniem, czego naród polski powinien był dokonać i czego dokonać zaniedbał.

„Czy w kraju jest taka pamięć o Bogu, jaka

być powinna i czy kieruje całym życiem naszym prywatnym i państwowym?

„Czy moralność nasza nie jest bardzo i bardzo chwiejna, a często spadająca poniżej moralności zwierząt nierozumnych?

„Czy miłość nasza obejmuje cały naród, a jeszcze i obcych, z którymi Opatrzność nam żyć każe? Czy nawet w rzekomej „dobroci” i „wrozumiałości” naszej, gdzie są ich pozory, nie kryje się często po prostu brak miłości wogóle?

„Czy uczciwość, pracowitość, męskość są stałymi cnotami naszymi i czyż w nich wzrastamy?

„Przypomnijmy sobie wszystkie niezgody, nienawiści, walki wewnętrzne, zbrodnie, zaniedbania, a stąd pochodzące krzywdy jednostkowe i społeczne, bezład w różnych odłamach życia naszego państwowego, socjalnego i gospodarczego, i znowu i t. d. i t. d.

„Zwróćmy wreszcie uwagę na tak powszechne wśród nas objawy pychy, zarozumiałości, a obok niej — bezmyślności i tępoty myśli i serca, a powiedzmy sobie, że więcejśmy zaniedbali, niż uczyniliśmy, i więcej daleko mamy do zrobienia, niż możemy nazwać dokonaniem”.

W końcu ks. biskup wzywa wiernych do poprawy, dodaje zachęty i otuchy na przyszłość oraz udziela swego błogosławieństwa pasterskiego.

Tak oto przemawia prawdziwy patriota polski. Gdyby nowoczesny Skarga gromi i nawołuje do pokuty, do opamiętania się, do rachunku sumienia. A czyni to z najszlachetniejszych pobudek, z miłości do narodu, z troski o jego zdrowie moralne, o jego przyszłość. Rzadko dziś słyszemy podobne gorzkie, lecz wzmacniające i uzdrawiające słowa prawdy.

Nie powinno nikogo dziwić, że rządząc diecezją o tak różnolitej ludności, w swym liście Pasterz zwraca się wyłącznie do wiernych — Polaków. Obchód dziesięciolecia niepodległości Polski, mimo oficjalnego charakteru państwowego, w gruncie rzeczy jest świętem narodowym polskim, a słusznie powiada dostojny autor na początku swego listu, że „radości nikomu nakazać nie można”.

Poleszuk.

## Naszym krytykom.

Od pewnego czasu wzmogły się ataki na nasze pismo. Zarówno w prasie, jak w opinii rozlegają się głosy, zarzucające nam, że zajmujemy się wyłącznie wyszukiwaniem dziur w całym, że uprawiamy krytykę tendencyjną, że sączymy jad w dusze czytelników. Są głosy i znacznie dalej idące, lecz na szczęście nie wszystkie głosy, jak mówi przysłowie, idą pod niebiosa.

Na zarzuty ludzi dobrej woli zaś odpowiadamy lojalnie i szczerze. Nie krytykujemy tylko dla sportu, lecz piętnujemy i wytykamy błędy i wady, mając w wielu wypadkach nadzieję, że odnośne czynniki zwrócą uwagę na naszą krytykę, że wiele niedomagań w naszych stosunkach może być naprawionych, skorygowanych, usuniętych.

Nie nasza wina, że mamy tak obszerne pole

do krytyki. Z powodu szczupłej objętości naszego pisma nie jesteśmy nawet w stanie wyzyskać całego materiału, którego w takiej obfitości dostarcza nam życie miejscowe.

Większość prasy polskiej uważa za swój obowiązek pisać o państwowości polskiej z zachwytem a o rządzie odzywać się w tonie pochlebczym, pisma zaś opozycyjne uprawiają najczęściej demagogję, wyzyskując ciemnotę tłumów, grając na najniższych ich instynktach. My krytykujemy tylko to, co w naszym przekonaniu jest szkodliwym dla naszego kraju, co paczy jego linję rozwojową, nie posługujemy się jednak nigdy argumentami *ad hominem*.

Jeżeli rana się jątrzy, to wydziela substancje trujące. Upośledzenie naszego kraju, lekceważenie jego odwiecznej odrębności, ustawiczne eksperymenty unifikacyjne, zachłanność i rozpieranie się elementu napływowego — to wszystko drażni nas i rani boleśnie. Nasza ironja, nasza jadowitość wypływa z tego przejmującego bólu, z troski o przyszłość naszego kraju, którą chcielibyśmy widzieć jasną i promienną. Trudno pisać spokojnie w obecnych warunkach. Piszemy bezstronnie — to powinno wystarczyć. Hołdów, panegiryków, kadzideł dość już wszędzie dokoła. Nam niech pozostanie dziedzina krytyki rzeczowej.

I jeszcze jedno. Raz po raz wysuwany jest zarzut, że inny jest nasz stosunek względem rządu polskiego, a inny względem litewskiego, że atakując politykę polską, stosunki w państwie polskim, nie krytykujemy stosunków w państwie litewskim, które przecież również nie są idealne. Już parokrotnie zabieraliśmy głos w tej kwestji. Powtarzamy ponownie: nie piszemy o stosunkach wewnętrznych w republice litewskiej ani źle, ani dobrze, bo nie posiadamy dokładnych i źródłowych wiadomości stamtąd. Nie posiadamy niestety w Kownie własnych korespondentów, nie otrzymujemy nawet pism kowieńskich stale i regularnie, a na doniesieniach rozmaitych agencji prasowych polskich polegać nie możemy ze względu na ich tendencyjność i specjalny dobór materiału. Nie mamy też zresztą tam czytelników, więc nasza krytyka byłaby bezcelowa\*). Podesycać zaś wrogie uczucia względem państwowości litewskiej wśród społeczeństwa wileńskiego nie widzimy żadnej potrzeby. Czynią to gorliwie i z zapałem wszystkie organy prasy polskiej.

Tych oto kilka niezbędnych wyjaśnień uważaliśmy za konieczne udzielić tym naszym przeciwnikom, o których wiemy, że się brzydzą posługiwanym w walce ideowej brudną bronią insynuacji i oszczerstw.

*Redakcja.*

\*) Gdy niedawno jeden z przyjaciół naszego pisma chciał przesłać swemu znajomemu w Kownie kilka roczników „Przeglądu Wileńskiego” za pośrednictwem pewnej osoby, jadącej z Wilna do Kowna, władze polskie przy rewizji „na linji administracyjnej” skonfiskowały cały komplet pisma, widocznie uważając, że wywóz zagranicę legalnych wydawnictw jest niedozwoloną kontrabandą.

## Z mego notatnika.

### Jednostronność i przesada.

Nigdy nie mogłem i dotąd nie mogę zrozumieć, dlaczego turyści polscy, opisując swe wrażenia z pobytu w Wilnie, z reguły przemawiają tonem podniosłym, z leką w oku, z jakimś nienaturalnym drżeniem w głosie. Dużo jest niewątpliwie w tem snobizmu, ale nie brak przecież i szczerych wynurzeń. Szczerym zapewne był i p. Zygmunt Kisielewski w swym „Liście radjowym”, o którym wspominałem w zeszłym numerze, szczerzy jest niewątpliwie również drugi uczestnik zjazdu literatów p. Jan Wiktor, który w „Naszym Kraju” pisze: „Wilno — miasto, jakby patyną poezji okryte, świętymi tchnieniami romantycznej przeszłości spowite. Miasto, które wciąż z jednakową mocą od wieków wypromieniowuje z siebie świętość uczuć wielkich bohaterów i wielkiej miłości”.

Nie wiem, jak innych Wilnian, ale mnie, mimo że jestem namiętnie przywiązany do Wilna i nie wyobrażam sobie, żebym mógł żyć gdzieindziej — razi ta przesada. Jak każde miasto o przeszłości historycznej, posiada Wilno, rzecz prosta, karty w swych dziejach piękne i jasne, ale także ciemne i mało-zaszczytne, miało swoich wielkich ludzi i bohaterów, ale też nieraz wydawało marne i nikczemne kreatury. Obok czynów ofiarnych, działy się sceny, z których trudno być dumnym. Obok romantyzmu i poświęcenia kwitło w najlepsze sobkowstwo i karierowiczostwo. „Z tej ziemi, użyźnionej krwią męczeństwa wyorane zostały płomień i piorun: Mickiewicz i Piłsudski” — powiada p. Wiktor. Bardzo pięknie, ale nie należy zapominać, że ta sama ziemia zrodziła Siemaszkę i Dzierżyńskiego...

Nie można patrzeć na Wilno wyłącznie przez pryzmat trzeciej części „Dziadów”. Trzeba spojrzeć czasami również wzrokiem krytycznym historyka i trzeźwego obserwatora współczesności. Byle nie sądzić powierzchownie i nie kwapić się do uogólnień.

W inną bowiem krańcowość uderzył p. Antoni Słonimski, zdając sprawę ze zjazdu w „Wiadomościach Literackich”. Wilno uczyniło na nim wrażenie zgoła ujemne. „Wilno — pisze — jest wschodnie, brudne, smutne i ponure”. Trudno, żeby w naszym klimacie w listopadzie jakiegokolwiek miasto wyglądało wesoło, czysto i powabnie. Nie jest Wilno ani miastem wschodniem, jak się wydało p. Słonimskiemu, ani też zachodniem, niemal romańskim, jak je lubią określać rozmaici bezkrytyczni entuzjaści, zwiedzający pod kierownictwem prof. Ruszczyca wnętrze kościoła św. Piotra i Pawła oraz dziedziniec uniwersytecki. Wilno jest położone na rubieży Wschodu i Zachodu i stanowi oryginalną mieszaninę obu tych pierwiastków z pewną domieszką elementów nawet czysto orjentalnych. Znać to i w architekturze, i w kulturze, i w wyglądzie ulicy, i w psychice ludności. Najtrafniej zwykle umieją uchwycić zasadnicze rysy fizjognomji Wilna przyjezdni cudzoziemcy, wolni od uprzedzeń, tendencji i narzuconych z góry teoryj. Przed kilku laty jakiś korespondent francuski nazwał dawną stolicę Litwy „rozdrożem ludów”. Istotnie jest to najbardziej typowa cecha grodu Gedyminowego — ta różnorodność etniczna i kulturalna, zlewająca się jednak w harmonijną całość.

Kraszewski w swej historii Wilna kładzie bardzo silny nacisk na ten właśnie charakter Wilna, który się w niem uwydatniał od czasów najdawniej-

szych. Mówiąc o rozwoju miasta za rządów Zygmunta Augusta, Kraszewski barwnie maluje ówczesny obraz rezydencji wielkoksiążęcej: „Nic nie było rodzinnego, chyba góry, osłaniające to miasto, wszystko zmieszane, złożone z różnorodnych pierwiastków, różnej barwy, różnego pochodzenia, pół azjatyckiego, pół zachodniego. Z jednej strony góry, pokryte lasem, tam dolina, tam parów, tam rzeki, tam piaski, tu pałac, tam drewniane chatki, rozsypane szeroko, kramy i kościoły, szynki i klasztory, jatki i ratusz, bożnica i meczet; sabat, ramazan i Boże Ciało, zbory ewangelików i mury panien zakonnych; ubodzy bez chleba i bogaci, jak króle; bezbożni i fanatycy, bluźniercy i penitenci; Niemcy z Turkami w jednej gospodzie, Lachy z Tatarami, Rusini z Włochami — wszystko się w Wilnie ścierało, zbliżało, graniczyło z sobą i żyło, jeśli nie w zgodzie, bo w takim mieście zgoda była przeciwna naturze, to przynajmniej w tym stanie pół pokoju, pół wojny z orężem u boku i ukłonem niskim, w niedowierzaniu a pozornej grzeczności, co tyle życiu dodaje zajęcia”.

Niema dziś ani Włochów; ani Turków, Niemców również niewielu pozostało, ale Polacy, Litwini, Białorusini, Rosjanie i Żydzi, katolicy i prawosławni, luteranie i kalwini, mahometanie i karaici aż nadto wnoszą różnorodności i nadają miastu owe piętno „rozdroża ludów”, które uderzyło spostrzegawczego i przenikliwego obserwatora cudzoziemskiego. Uczestnicy zjazdu literatów tego wszystkiego nie dostrzegli. Dla nich Wilno jest tylko jedną wielką celą Konrada. A przecież, gdy są we Florencji, to najmniej zapewne myślą o tem, że widzą kolebkę Dantego!

### Skutki bezhołwia.

Moja ostatnia notatka o zjeździe literatów wysoce zirytowała współpracownika „Kurjera Wileńskiego”, ukrywającego się pod pseudonimem Jana Mrskiego. Pomawia więc mię o jadowite syczenie, o złość, o kłamstwo, o „umyślne rozlewanie wątrobianej żółci”, gdy tymczasem tego jadu, tej złości i żółci, a zwłaszcza tego kłamstwa jest o wiele więcej w rozważanym głosie J. Mrskiego, niż w moich żartobliwych uwagach. Widocznie ów Jan Mrski brał czynny udział w organizacji zjazdu, może nawet był jednym z jego inicjatorów? *Inde irae.*

Najgorzej, że z mego powodu dostało się przy tej sposobności i redaktorowi naszego pisma i piśmu naszemu wogóle. Redaktorowi — za artykuł wstępny (w niemożliwy sposób sparodjowany przez J. Mrskiego) oraz za jego uchylanie się od udziału w obchodach i uroczystościach narodowych, piśmu zaś za to, że jest mało znane (pocóż w takim razie zwracać na nie uwagę?), nie ukazujące się w handlu (co jest niezgodne z prawdą, gdyż sprzedaż uliczna stanowi w rachunkach redakcyjnych wcale pokaźną pozycję) i że ziele nienawiścią do państwowości polskiej (co jest oczywiście grubą przesadą).

Nie mam zamiaru stawać tu w obronie redaktora i jego artykułu wstępnego, bo poruszony w nim temat dziesięciolecia niepodległości Polski jest zbyt poważny dla mego pióra i nie nadaje się do „notatnika”. Przypuszczam, że stawiane mu zarzuty sam potrafi odeprzeć, o ile uzna je za zasługujące na odpowiedź. Nie mogę jednak nie zareagować na insynuację p. Mrskiego, utrzymującego, że przemawiało przez nas obu rozżalenie z powodu nieuczestniczenia w „obfitym w wyborne trunki raucie magistrackim”.

Przedewszystkiem dla ścisłości muszę stwierdzić, że redaktor zaproszenie na raut otrzymał (pan prezydent był bardziej uprzejmy, niż organizatorzy zjazdu), nie mógł więc czuć żalu za pominięcie go, niżejpodpisany nie został wprawdzie zaproszony, ale jako skromny dziennikarz nie rachował na to wcale, zresztą i redaktor i ja wolimy spijać trunki (może nie tak wyborne) u Macieja, a że raut wypadł w sobotę wieczorem, gdy obowiązuje prohibicja, więc jako lojalni obywatele musielibyśmy się powstrzymać od spożywania alkoholu również na raucie. Domysł przeto p. J. Mrskiego upada całkowicie.

Czy redaktor istotnie unika wszelkich uroczystości polskich, „uczęszczając natomiast pilnie na litewsko-białoruskie i żydowskie fety” — tego nie wiem, gdyż nie znam dokładnie jego trybu życia, wydaje mi się wszakże, że i Jan Mrski również nie posiada ścisłych pod tym względem informacyj, bo i skąd może wiedzieć, nie bywając na żadnych fetach „inorodców”? (Nawiasem muszę zauważyć, że nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się nie tylko być obecnym, ale nawet słyszeć o jakiegokolwiek wspólnej „fecie” litewsko-białoruskiej).

Ale nawet gdyby tak było, to nie racja, żeby go pomijać w zaproszeniach na zjazd literatów, który w Wilnie właśnie nie powinien mieć charakteru wyłączności narodowej. Należało skorzystać ze sposobności i zainicjować spotkanie z pracownikami pióra wszystkich narodowości, kraj nasz zamieszkujących dla wzajemnego chociażby zapoznania się. Zjazdy wyłącznie polskie można z o wiele większym powodzeniem urządzić w Warszawie lub Krakowie.

Ta okoliczność, że podobno żadnych zaproszeń nie rozsyłano, bynajmniej nie usprawiedliwia gospodarzy zjazdu, bo któż zechce się legitymować przy wejściu ze swych literackich kwalifikacyj?

Można zresztą o tem wszystkim dyskutować spokojnie i bez uniesienia. Jan Mrski jednakże zapewne jest bardzo młody; tem się tłumaczy jego ferwor i napaść na nasze pismo. Szkoda, że przed napisaniem swego paszkwilu nie poradził się kogoś starszego w swej redakcji.

Ma przecie tam koleżankę p. Helenę Romer, która jako dawna wileńska publicystka i współpracowniczka niegdyś „Gazety Krajowej”, wychodzącej pod tą samą redakcją, co „Przegląd Wil.” nie omisszałaby go poinformować, że ideologia krajowa bynajmniej nie jest przeciwna „polskim poczynaniom w każdej dziedzinie”, zwalczając jedynie imprezy o charakterze wszechpolskim. Różnicę tę p. H. Romer również by mogła dokładnie wyjaśnić, gdyż swego czasu wcale trafnie ją uchwyciła na łamach „Gazety Krajowej”, pisząc po zajęciu Wilna przez Litwinów w r. 1920: „Wskutek agitacji wszechpolskiej... znak Orła Białego stał się sztucznie symbolem polskości, a natomiast z Pogoni uczyniono jakąś oznakę litewskiego nacjonalizmu. Rzecz iście potworna! Uczono ludzi dorosłych i dzieci wstrętu do tego symbolu ich rodzinnego kraju... Niechże to raz społeczeństwo wileńskie zrozumie, że nie przyszedł tu nikt obcy panować nad nim. Weszli współmieszkańcy tego kraju, synowie tej ziemi, którzy dotąd wejść nie mogli... Przyjęcie Pogoni za swój znak nie jest wyrzeczeniem się polskości, tego musi się polska ludność Litwy nauczyć...” i t. d.

Jeszcze w r. 1925 p. Helena Romer zamieściła na łamach tak pogardzanego przez J. Mrskiego „Przeglądu Wileńskiego” serdeczne wspomnienie pośmierne o Tadeuszu Wróblewskim, który był

gorącym sympatykiem naszego pisma i zwolennikiem tych samych wskazań programowych, którym hołduje ono do dziś dnia bez zmiany.

Jestem więc pewien, że gdyby Jan Mr-ski pokazał swą elukubrację przed jej wydrukowaniem starszej, doświadczonej koleżance,aby mu napewno wyperswadowała jego brzydki zamiar i przekonałaby go, że nie można obrzucać błotem pisma za to, że nie uważa ono p. p. Hulewicza, Łopalewskiego, Szeligowskiego, prof. Pigionia i wielu innych, skądinąd nader czcigodnych przedstawicieli literatury i nauki polskiej za reprezentację rdzennego Wilna.

Wielka, wielka szkoda, że w redakcji „Kurjera Wil.” nie wie prawica, co czyni lewica. Znać, że panuje tam bezhołowie, że niema odpowiedniego kierownictwa, któreby potrafiło skoordynować poszczególne odruchy...

### Ślusarz zawinił, kowala powiesili.

P. Nabludatiel z dziennika rosyjskiego „Nasza Żiźń” upiera się w dalszym ciągu, że użyte przezemnie wyrażenie „bizantynizm” miało charakter tendencyjny i dopatruje się w niem chętki kopnięcia „wschodnich barbarzyńców”. Na upór niema lekarstwa, zwłaszcza gdy jest on połączony z manją przesładowczą. P. Nabludatiela widocznie nie przekonam, ale może jego koledzy redakcyjni, mniej uparci rozumieją, że co innego głupi pomysł krakowskiego „Kurjera Ilustrowanego” tytułowania rubryki rozmaitych nadużyć urzędniczych „Z pod czapki Monomacha”, a co innego posługiwanie się terminem ogólnie przyjętym i mającym prawo obywatelstwa w języku polskim.

Czy nie byłoby śmieszne, gdyby jakiś mulat uczuł się obrażony utarciem w języku polskim określeniem „etyka murzyńska”? A przecie pomiędzy Mulatem i Murzynem istnieje bliższe pokrewieństwo, niż między Rosjaninem a średniowiecznym Grekiem. Ostatecznie można żywić pretensję do języka polskiego, lecz w żadnym razie nie do pisarza, któremu jaknajbardziej są obce wszelkie intencje szowinistyczne.

Licz.

---

Gdy Jan Mr-ski ma wyrobioną opinię o „Przeglądzie Wileńskim”, jako o piśmie, wydawanem specjalnie w celu zatruwania pogodnego usposobienia literatom i literatom wileńskim, inny współpracownik „Kurjera Wil.” p. Janusz Ostrowski przeciwnie podkreśla poważny charakter i konsekwencję naszego pisma, nie może tylko zrozumieć wyznawanej przez nie ideologii, wreszcie trzeci współpracownik tegoż dziennika p. T. Nagurski stwierdza, że grupa krajowców, reprezentowana przez „Przeгляд Wil.” jest słaba, niemniej jednak uważa za pilną potrzebę podniesienie u nas hasła pracy w imię ideałów W. Ks. Litewskiego.

Czy wobec takiej rozbieżności nie należałoby redakcji „Kurjer Wil.” odbyć walnej narady z udziałem wszystkich jej członków dla ustalenia wspólnego poglądu na kierunek naszego pisma, a przy tej sposobności określić wyraźnie swój własny stosunek do ideologii krajowej, której jedni współpracownicy nie chcą zrozumieć, inni rozumieją i zlekka z nią sympatyzują, a jeszcze inni (jak p. lit. w artykułach z okresu przedwyborczego) nawet ją bronią, chociaż całkiem nie rozumieją?

---

## Jeszcze o samowystarczalności.

W Nr. 265 „Słowa” p. B. Krzywiec, magister prawa, usiłuje zbić moje twierdzenia z powodu hałaśliwej propagandy samowystarczalności gospodarczej Polski.

Upewniam autora artykułu, że *wiem i rozumiem dobrze*, że cała ta akcja została zainicjowana przez pewne czynniki dla poprawienia bilansu handlowego, który od pewnego czasu ma stałą tendencję bierną; równocześnie wiem jednak, że pojemność kupcza naszego rynku wewnętrznego jest b. mała, z powodu niskiej skali życiowych potrzeb szerokich kół ludności. Twierdzenie autora o znacznym zwiększeniu dobrobytu wśród ludności jest zupełnie gołosłowne i na niczem nie oparte; zgoła przeciwnie *szersze koła inteligencji są dotąd w znaczeniu gorszym położeniu materialnym* niż przed wojną, to samo można powiedzieć o sferze ziemiaństwa i kupiectwa; o włościanach i robotnikach niema co mówić, gdyż wśród tej kategorii spożywców zapotrzebowanie na towary zagraniczne wogóle jest minimalne.

Z tego wypływa, że propaganda kupowania tylko krajowych fabrykatów, a nie zagranicznych jest bezcelową, bo szerokie koła inteligencji, którą mają na widoku odezwy i krzykliwe pochody, — nie mają *za co* kupować luksusowych przedmiotów, win, perfum i jedwabi etc., natomiast te towary, które będą lepsze i tańsze będą kupowały pomimo wszelkich nawoływań lub złorzeczeń, bo już taka jest natura ludzka w ogólności, której zmienić *nikt nie potrafi*, bo pozostaje ona pod działaniem instynktu samozachowawczego. To też twierdzenie p. Krzywca, magistra prawa: „że społeczeństwo obywatelsko uświadomione *mogło by się* zdobyć *na kupno nawet przedmiotów chwilowo w niższym gatunku* byle by tylko podtrzymać w ten sposób pewne gałęzie wytwórczości krajowej”, uważam *za kompletną utopję*.

Ani robotnicy, ani włościanie, ani szerokie koła inteligencji, ani bogata burżuazja nie dadzą się wziąć na takie hasła, które śmiało można by nazwać *ascetycznymi*; od pierwszych 3 grup wymagać opłacania takiego sutego haraczu, w dodatku nie wiadomo jak długo i z bardzo niepewnym rezultatem stanienia krajowych towarów, jest żądaniem wygórowanym, tembardziej gdy wiadomo aż nadto, że u nas najbardziej ofiarne na cele społeczne są właśnie inteligencja i robotnicy. Co się tyczy sfer zamożnych, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w większości nie będą one myśleć o poważnym traktowaniu propagandy samowystarczalności.

Zresztą wszyscy zaczną kupować krajowe wyroby wtedy, gdy będą dorównywały zagranicznym. *Trzeba więc polepszyć ich jakość*. I to jest pierwszym obowiązkiem, najważniejszym zadaniem. Dlatego popieranie wytwórczości krajowej jest wysiłkiem celowym, jak również popieranie ze wszelką ekspozycją i społeczeństwa dla poprawienia bilansu handlowego; nawoływanie zaś do premji dla swojskiego handlu i przemysłu, w postaci przepłacania za krajowe towary droższe i gorsze, niesmaczne demagogiczne nalepki, które spotkały się z licznymi acz nieśmiało protestami kupców, zaskoczonych niezasłużonym piętnowaniem, a głównie frazesy teoretycznej nic tu nie pomogą i tylko ośmieszają całą akcję. Nic też nie pomoże choćby szereg uproszonych ad hoc profesorów, co w artykułach lub wywiadach

będą powtarzali znane wszystkim komunały pod pewnym naświetleniem. Wiemy wszyscy, jak się to robi. Proszą—nie wypada odmówić, a przytem działają ogólny nastrój i żądza popularności, pisze się więc, choć się samemu nie bardzo wierzy...

Należy też zwrócić uwagę na to, że jest mnóstwo sposobów obejścia wszelkich bojkotów i zakazów. W czasie wojny wszechświatowej widziałem w Petersburgu masy artykułów niemieckich, sprzedawanych, jako szwajcarskie ze stemplami i markami ochronnymi takimiż; co ciekawsze, że kupcy rdzenni Rosjanie, ofiarowujący wielkie sumy na walkę z Niemcami, sami to opowiadali niżej podpisanemu i udowadniali odklejając marki ochronne, z pod których wyłaniało się „Made in Germany”. Zresztą i przed wojną sprzedawano wiele artykułów z marką „Made in England”, a były to wyroby niemieckie; wszędzie to się robi i walka z tem jest beznadziejna. Nie wierzę, aby kupiectwo polskie bardziej miało być patriotyczne pod tym względem, niż rosyjskie lub inne.

Powtarzam, com już w poprzednim artykule napisał: przemysłowcy, a w szczególności kupiectwo są czynnikami zbyt międzynarodowemi, zbyt związanymi z cudzoziemskim handlem i przemysłem, zbyt zależnymi od wielkiego kapitału *międzynarodowego—anonimowego*, by można było wierzyć w ich szczerść w podobnych przedsięwzięciach, a bez ich współdziałania tego rodzaju imprezy z góry skazane są na zupełne fiasco. Od ubogiej inteligencji wymagać opłat premjowych dla zrównoważenia nieudolności, niedbalstwa, małej ruchliwości i sprężystości oraz słabej organizacji polskiego handlu i przemysłu jest to nie tylko niesłychana niesprawiedliwość, lecz i niedźwiedzia usługa, okazana temuż handlowi i przemysłowcy, który tylko wtedy stanie mocno na nogi, gdy go będzie dopingować i współzawodniczyć z nim konkurencja zagraniczna. Inaczej jeszcze bardziej—spleśnieje i zniemrawieje, tak jak się zawsze dzieje z sztucznie hodowanymi tworami. Nieudane próby kolonizacji i osadnictwa wojskowego winnyby były czegoś w tym względzie nauczyć.

W końcu kilka słów pro domo sua i pro domo nostra: o moich przekonaniach i poczuciu narodowym polskiem nie potrzebuję zapewniać tych, co mnie znają; inni, jeżeli się tą kwestją interesują, mogą zasięgnąć informacji w odnośnych urzędach. Rozważania zaś i przypuszczenia na temat, jak by się ustosunkował „Przeгляд Wileński” do podobnej akcji na Litwie, uważam za zupełnie niewłaściwie w poważnym skądinąd artykule.

E. Łopaciński

## Piszą do nas.

### Z powodu „Archipasterskiego posłanija”.

Nigdy nie przypuszczałem, iż być prawosławnym, to znaczy popełniać zdradę stanu.

A jednak tak jest. Dowodem tego jest zamieszczony niedawno w pismach warszawskich i wileńskich cały szereg artykułów i wiadomości, oskarżających Arcybiskupa Eleuterjusza, przebywającego obecnie w Kownie, o agitację antypaństwową polską. Stąd konkluzja: wszyscy prawosławni, uznający go za swego arcybiskupa popełniają zdradę stanu.

Trudno o większy paradoks. Czem się on tłumaczy?

Tłumaczy się on mojem zdaniem, tem, iż Cerkiew prawosławna traktowana jest u nas nie jako Kościół niezależny, lecz jako narzędzie walki politycznej.

Warszawski Synod prawosławny z metropolitą na czele, w celu dogodzenia rządowi polskiemu, samowolnie ogłosił autokefalię Cerkwi prawosławnej polskiej, wbrew zasadniczemu przepisom kanonicznym.

W ten sposób, Synod Warszawski, wierny tradycjom Cerkwi prawosławnej Rosji carskiej, kontynuuje tę samą politykę kościelną w Polsce. Ze swej strony rząd polski zajmuje takie same stanowisko, jak rządy carski i bolszewicki, obrawszy Kościół narzędziem walki politycznej.

Z tem położeniem Cerkwi prawosławnej nie mógł pogodzić się arcybiskup litewski i wileński Eleuterjusz i wierny kanonom Cerkwi prawosławnej protestował przeciwko ich pogwałceniu, które upatrywał w ogłoszeniu autokefalji bez zgody Cerkwi-Macierzy, oraz soboru krajowego. Został wskutek tego przemocą usunięty z Wilna i osiadł w Kownie.

Dowiedziawszy się, iż Synod Warszawski obecnie ma zamiar zwołać sobór, arcybiskup Eleuterjusz uznał za swój obowiązek arcybiskupowski zwrócić się do ludności prawosławnej swej diecezji ze stosownym listem pasterskim o charakterze ściśle kościelnym.

Z tej okoliczności skorzystała prasa polska; by go obrzucić błotem.

Przedewszystkiem uczyniła żeń agenta rządu litewskiego, działającego na niekorzyść państwa polskiego, pozatem zarzuciła mu, iż uznaje Cerkiew „bolszewicką” za swoją Cerkiew-Macierz; i, wreszcie, o to, iż walczy przeciw „prawowitej” polskiej autokefalicznej Cerkwi prawosławnej.

Pierwsze oskarżenie jest wprost śmieszne. Opieranie oskarżenia tylko na tym fakcie, iż w liście swem arcybiskup nazywa rząd litewski „naszym” nie wytrzymuje krytyki. Arcybiskup Eleuterjusz ma takie same prawo nazywać rząd litewski swoim rządem, jak metropolita warszawski uważać za swój rząd—rząd polski.

Bardzo słusznie senator Bohdanowicz w liście do redakcji „Za Swobodu” zwrócił uwagę, że gdyby arcybiskup Eleuterjusz pozostał na swem stanowisku w Wilnie, to będąc obywatelem polskim, niewątpliwie użyłby w liście wyrażenia „nasz rząd” w stosunku do rządu polskiego, a wówczas prasa kowieńska musiałaby wystąpić przeciwko niemu z oskarżeniem go o działalność antypaństwową litewską. Bo będąc dotąd *kanonicznie* arcybiskupem wileńskim i kowieńskim, wobec podziału politycznego diecezji, nie jest w stanie dogodzić jednocześnie obu stronom.

Drugie oskarżenie również nie ma żadnej podstawy. Arcybiskup Eleuterjusz nie ogłaszał niekanonicznych autokefalijskich ani polskiej, ani litewskiej Cerkwi prawosławnej. Czyż można go winić o to, iż uznaje swoją kanoniczną Cerkiew-Macierz? Pod względem kanonicznym ma on zupełną rację. Względy polityczne zaś jego wcale być może nie obchodzą. Obchodzą one napewno Synod Warszawski, metropolitę Antoniego w Paryżu, który zorganizował swoją autokefalię monarchiczną, „żywą cerkiew” bolszewicką, lecz wcale nie prawdziwą Cerkiew prawosławną.

Ta okoliczność, że zastępca patriarchy moskiewskiego metropolita Sergjusz, któremu się podporządkował arcybiskup Eleuterjusz, uznał władzę bol-



szewicką, nie ma żadnego znaczenia z punktu widzenia kanonicznego. Patriarchowie carogrodzcy uznają od wieków władzę sultanów tureckich, jednakże nikt nie kwestjonuje ich kompetencji i zwierzchnictwa.

Najzabawniejsze jest trzecie oskarżenie, polegające na tem, że arcybiskup Eleuterjusz zwalcza autokefaliczną Cerkiew prawosławną w Polsce. Właśnie należy mu to poczytywać za zasługę. I że stawia on ponad wszystko kanony i dogmaty Cerkwi, której jest przedstawicielem, lecz nie bawi się w politykę i nie zawiera kompromisów ze swem sumieniem.

Wiem, że większość czytelników „Przeglądu Wil.” mało obchodzi zagadnienia Cerkwi prawosławnej. Wobec jednak jednostronnego oświetlenia ostatniego wystąpienia arcybiskupa Eleuterjusza przez prasę polską, zarówno wileńską, jak warszawską, uważałem za potrzebne zabrać głos, aby przedstawić sprawę i z innego punktu widzenia, który zresztą jest podzielany przez wielu mych współwyznawców.

Józef Lipski

## Biblijografia.

**Budecki Zdzisław.** *Stosunki polsko-litewskie po wojnie światowej 1918–1928*: Z przedmową dr. Juliana Makowskiego. Warszawa. 1928. Nakładem Koła naukowego Szkoły Nauk Politycznych.

O wartości tej kompilacji, która jest pracą dyplomową autora w Szkole Nauk Politycznych, daje dostateczne pojęcie następujący wyjątek z przedmowy: „Cechą charakterystyczną tego zatargu (Litwy z Polską) jest to, że Litwa państwo miniaturowe z dwoma i coś miljonami ludności występuje przeciw potężnej bądź co bądź Polski, która tak pod względem liczby mieszkańców jak i wielkości obszaru zajmuje 6 e miejsce w Europie. Wystąpienia Litwy są pełne tupetu, zuchwałości, goryczy i nienawiści do Polski, Polaków i tego wszystkiego co polskie. Ta śmiałość wystąpienia przeciw potężnemu państwu dopiero wtedy jest zrozumiała, o ile przejrzymy politykę Litwy w pierwszych latach powojennych; zobaczymy, że od samych początków współczesnego państwa litewskiego, aż do obecnych czasów, polityka jej jest wybitnie germanofilska”.

Aby się zdobyć na tego rodzaju głębokie ujęcie zagadnienia, nie trzeba kończyć studjów w Szkole Nauk Politycznych. Wystarczy być pilnym czytelnikiem „Dziennika Wileńskiego”. Ten charakterystyczny ustęp zwalnia nas od obowiązku bardziej szczegółowej oceny pracy dyplomowej p. Budeckiego. Najzabawniejsze zaś, że autor króciutkiej i zdawkowej przedmowy prof. Julian Makowski, dziekan wydziału dyplomatyczno-konsularnego Szkoły Nauk Politycznych zaleca tę książkę powiadając, że autor wywiązał się ze swego zadania „sumiennie i z bezstronnością, na jaką musi się zdobyć Polak, gdy pisze o tym zatargu pomiędzy dwoma *bratnimi* narodami”. Ładne braterstwo i ładna bezstronność! No i ładna szkoła, jak widać...

**Ruch Słowiański.** Miesięcznik poświęcony życiu i kulturze Słowian. № 1. Lwów. 1928.

Czasopismo tego rodzaju jest przedsięwzięciem niezmiernie pożytecznym, pod warunkiem wszakże,

że przede wszystkim będzie uwzględniało życie i kulturę tych narodów słowiańskich, z którymi naród polski najbliższe żyje i z którymi ma najwięcej wspólnych interesów. Tymczasem w pierwszym numerze mamy artykuły i wiadomości o Czechach, Jugosłowianach, Bułgarach, nawet Rosji Sowieckiej, lecz ani słowa o Ukraińcach i Białorusinach, jeśli nie liczyć drobnej wzmianki bibliograficznej o pracy N. Szczakaticzina, wydanej w Mińsku p. t. „Narysy z historii białoruskiego mastactwa”. Zdawałoby się, że skoro pismo wychodzi we Lwowie, w pierwszym rzędzie będzie zawierało bogaty materiał informacyjny o życiu kulturalnym ukraińskim, o którym tak mało wie społeczeństwo polskie. Tymczasem — kompletny zawód. Być może jest to tylko przypadek, i w następnych numerach rażąca ta luka zostanie wypełniona, ale mimowoli budzi się podejrzenie, że redakcja nie jest wolną od pewnych intencji politycznych. Oby nasze przypuszczenia się nie sprawdziły!

a.

## KRONIKA.

**Zapomniana rocznica.** Dn. 30 października minęło 200 lat od daty urodzin znakomitego astronoma wileńskiego ks. Marcina Poczobuta. Dziwna rzecz, że Uniwersytet Wileński nie uważał za potrzebne uczcić tej rocznicy stosownym obchodem. Ale u nas tak zawsze. Rocznice, które dla Wilna są obojętne, jak np. założenie Ossolineum we Lwowie są uroczyste obchodzone, natomiast nasze wileńskie rocznice, chociaż o wiele bardziej doniosłe, nie budzą żadnego zainteresowania.

Przecież minęła cicho i niepostrzeżenie 600 na rocznica założenia Wilna w r. 1922, zapewne też pominięta będzie głuchym milczeniem 500 rocznica zgonu W. Ks. Witolda, która przypada za dwa lata. No, ale tamte rocznice nie są pozbawione pewnego zabarwienia politycznego, dlatego jednak ten sam los spotkał Poczobuta? Trudno zrozumieć.

**Walka z „triebnikami”.** Z powodu poświęcenia tablicy pamiątkowej w kościele św. Rafała na Śnipiszkach, ku czci ks. St. Piotrowicza, który publicznie na ambonie spalił rosyjski „triebnik” i czynem tym zapobiegł rusyfikacji kościoła katolickiego na Litwie i Białorusi, jeden z naszych czytelników — kapłan ze starszej generacji podnosi zasługi innego nieustraszonego również szermierza katolickiego, s p. ks. Konstantego Majewskiego, cytując ustęp ze znanego jego raportu z r. 1872. „Wole, spełniając obowiązek sumienia jęczeć w kopalniach Syb ru, wole dusić się w podziemnych kazematkach, wole nawet wyzionąć ducha na szubienicy, niż za przykładem Konsystorza, oszukując rzekomym patriotyzmem rosyjskim rząd i społeczeństwo, oszukiwać jednocześnie własne sumienie”. Przeczytawszy te słowa ówczesny generał-gubernator wileński Albediński wyrzekł „Dierzko — to, dierzko, no riezonnol” Korespondent nasz przy tej sposobności wyraża życzenie, by ktoś powołany skreślił całkowitą historję walk z „triebnikami”.

**Jeden się cieszy, drugi się smuci.** Dziesięciolecie niepodległości Polski dało się we znaki obywatelom drugiej kategorii. W okresie tym uległy konfiskacji „Biel. Krynica” (dwukrotnie), „Viln Aidas” oraz „Nasza Żiźń”, ta ostatnia za podanie niezgodnego z prawdą opisu zabrania na kościół starożytną cerkiew prawosławną w Możejkwie. Sprawa ta się ciągnęła od r. 1919 i ostatecznie została niedawno przez władze administracyjne rozstrzygnięta na korzyść katolików.

**Echa zjazdu literatów.** Jak się okazuje, nie jesteśmy bynajmniej odosobnieni w swym sceptycyzmie względem zjazdu literatów. P. Antoni Stonimski pisze bez ogródek w „Wiadomościach Literackich”: „Zjechali się starzy wyjadacze, by wytargować od rządu forszę” i z przekąsem się wyraża o referacie delegata poznańskiego. Innego uczestnika zjazdu p. Jana Nepomucena Millera w tymże „Kurjerze Wileńskim” p. Helena Romer zalicza do „holoty” za jego ujemne komentarze do „Pana Tadeusza”. Pocóż więc było ściągać taką „holotę” do Wilna, szumnie ją reklamować, urządzać na cześć jej festyny, by wnet potem ordynarnie jej nawymyślać?

P. Walerjan Charkiewicz wyraża się jeszcze mocniej. Utrzymuje on, że „czyn, którego dokonala „Biblioteka Polska” wydając „Pana Tadeusza” w opracowaniu J. N. Millera powinien być traktowany narówni z puszczaniem w obieg fałszywej monety”. Ostrożnie panie Charkiewicz! Za takie porównanie można grubo beknąć. Swego czasu redaktor naszego piśma, oburzony fałszowaniem historii przez p. J. Obsta napomknął coś o fałszowaniu weksli, i z tego wynika sprawa sądowa zakończona surowym wyrokiem, gdyż sąd uznał takie zestawienie za niedopuszczalne i wysoce obraźliwe dla tendencyjnego popularyzatora historii. A czym jest gorszy historyk literatury? Czego nie przewiduje kodeks karny, tego zbyt dosadnie piętnować nie wolno.

**Przesilenie w Tymcz. Komitecie Litewskim.** Wskutek tarć przekonaniowych pomiędzy prawicą a lewicą w miejscowym społeczeństwie litewskim z T. Komitetu Litewskiego w Wilnie wystąpili pp. P. Karazija i dr. Szłapelis, o czym podali do wiadomości publicznej w Nr. 131 „Viln. Aidas”.

## Walne zebranie Instytutu Badań Spraw Narodowościowych.

W niedzielę dnia 21-go października odbyło się w Warszawie walne zebranie Instytutu Badań Spraw Narodowościowych, w którym m. in. wzięli udział prezes Stanisław Thugutt, minister W. Staniewicz, prof. Handelsmann, Z. Nagórski, prof. Schorr, były wojewoda Stanisław Srokowski, prof. Smal Stocki, T. Hołówko, St. Paprocki i M. Swiechowski oraz wielu innych osób. Obradem przewodniczył St. Srokowski. Sprawozdanie imieniem ustępującego zarządu złożył St. Thugutt, zaznaczając, że Instytut prowadzi wyłącznie prace badawczo-naukowe, natomiast wnioski co do rozstrzygnięć w sprawach mniejszościowych pozostawia czynnikom politycznym. Sprawozdanie komisji rewizyjnej złożył mesenas Nagórski. Po sprawozda-

niach wywiązała się dyskusja, poczem uchwalono zarządowi absolutorjum. Sekretarz genralny Instytutu Paprocki przedłożył preliminarz budżetowy na rok 1929, który przyjęto. Następnie odbyły się wybory do nowych władz Instytutu. Do nowego zarządu wybrano Stanisława Thugutta (prezes), prof. M. Handelsmana i posła Loewenhertza (vice-prezesi), J. Osmołowskiego (skarbnik), posła K. Okulicza, L. Chomińskiego i Edwarda Maliszewskiego, jako członków, na zastępców zaś T. Hołówkę, A. Tarnowskiego i senatora Kamienieckiego. Do komisji rewizyjnej wybrano Z. Nagórskiego, W. Łypacwicza i dyrektora Rzepeckiego. Na nowych członków rzeczywistych instytutu powołano Stanisława Stempkowskiego, Kazimierza Petruszewicza, Stanisława Czosnowskiego, Seweryna Wysłoucha, Ludwika Abramowicza i Konstantego Srokowskiego. Na tem walne zebranie zakończyło swoje obrady.

## Treść numeru:

O rozszerzenie frontu. — L. A. Tabula rasa. — Poleszuk. Słowa prawdy. — Naszym krytykom. — Licz. Z mego notatnika. — E. Łopaciński. Jeszcze o samowystarczalności. — J. Lipski. Z powodu „Archipasterskiego posłanija”. — Bibliografja — Kronika.

*Numer dzisiejszy zawiera 10 stron.  
Wobec zbliżającego się końca roku  
prosimy Sz. Prenumeratorów, którzy dotąd  
nie opłacili prenumeraty za IV kwartał,  
względnie za II półrocze o uregulowanie  
należności, nie oczekując rachunków od  
administracji.*

## KSIĘGARNIA ST. DORŻYŃKIEWICZA W WILNIE ul. Dominikańska 14.

**Kupuje książki pojedynczo i  
większemi partjami, przyjmuje  
w komis, posiada na składzie  
wielki wybór książek rzadkich  
i wyczerpanych.**

## KSIĘGARNIA LITEWSKA

# M. SZŁAPELIS

WILNO, UL. DOMINIKAŃSKA 13.

Poleca między innymi:

**D-ra J. Szłapelisa** SŁOWNIK LITEW-  
SKO-ROSYJSKI (obszerny z akcentami  
i przykładami). Część I-sza. Cena zł. 18.  
**D-ra J. Szłapelisa** SŁOWNIK LITEW-  
SKO-POLSKI (w druku).

Księgarnia posiada wielki wybór książek  
w języku litewskim oraz w innych językach.  
Księgarnia ma na składzie książki o Litwie,  
nowe i wyczerpane.

Podręczniki, gramatyki, słowniki do nau-  
czenia się języka litewskiego.

**PRZY KSIĘGARNI DZIAŁ FILATELISTYCZNY.**